Lwów, 12. Stycznia. №5. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

II.

Dwadzieścia lat później.

(Ciąg dalszy.)

W tej prawie chwili pojawił się nagle niespodziany świadek tej sceny. Niewidziany przez naszych kochanków, oparty o krzyż tak, aby wrazie potrzeby mógł się skryć za niego, wytężonem okiem śledził wszystkie ich poruszenia. Dziwna i ciekawa była to postać. Był to widocznie prosty góral twarzą i postawą. Młody, ogromnego wzrostu i wysmukły jak jodła, a gibki jak trzcina, odznaczał się głównie ogromnym zarostem wąsów, brody, a mianowicie włosów, które czarne połyskujące w naturalnych, ogromnie długich kędziorach spadały mu aż na piersi. Z tego bogactwa włosów wystawała twarz blada nadzwyczaj, której wyraz, jeżeli był jaki, niknął w tym cieniu włosów; oczy tylko z łona czarnych brwi, włosów, wąsów i brody iskrzyły się ogniem niezwyczajnem, jakby oczy kota lub sowy w nocy, a może raczej jak oczy tygrysa w ciemnej pieczarze czatującego, bo te oczy miały rzeczywiście spojrzenie dzikie, złowrogie, nieubłagane. Strój jego dziwnym sposobem odpowiadał całemu wyrazowi twarzy i oczów, i dziwniejszem robił zjawienie się tego człowieka. Był on ściśle po góralsku ubrany, ale wszystko na nim i gunia i szarawary i kurtka spodnia, było zupełnie czarne bez najmniejszej srokacizny. Koszula nawet na nim nie jak zwykle krasnemi ale czarnemi przeszyta była haftami. Pas na nim był z czarnej skóry bez wszelkiej ozdoby, i torba na plecach czarna, i toporek w ręku czarno szmelcowany, kapelusz tylko na głowie różnił się nieco, bo był daleko wyższy od zwykłych góralskich, i ustrojony był w pęk różnobarwnych pawich i innych piór, a pod tym pękiem, czy to sprzączka czy kamień jaki świeciło coś niepospolitym blaskiem. I fuzya na nim nie była prosta góralska, bo osada jej i lufa świadczyły o jej doskonałości i zagranicznem pochodzeniu. Im dłużej patrzył na czułą parę kochanków, tem żywiej, tem okropniej iskrzyły mu się oczy; gdyby bliżej nich stał, spaliłby ich zda się swym wzrokiem. Była nawet chwila, w której wyprostował się nagle, i sięgnął ręką za siebie... może chciał krzesiwa dobyć z torby tylko... Lecz wnet oparł się znowu, i spoglądał na nich zadumany.

— Więc kochasz mnie? — mówił panicz...

— Paniczu luby! jedźcie tam w góry nad nami, aż pod Węgierszczyznę, i tam w doliny, aż tam gdzie się niebo kończy, a przysięgam wam, że nieznajdziecie dziewczyny, coby was tak kochała całem sercem, jak biedna Olanka, wasza poddana.

— I czemuż nie zrobisz, o co cię tak dawno proszę.

— Co takiego?...

— Czemu nie chcesz przyjść do dworu...

— Do dworu!... dajcie pokój temu... paniczu mój....

— Powiedz czemu?..

— Coby wasz tato powiedział... jabym się go bała.

— Mój ojciec już dziś nie straszny....

— Prawda! zaniemógł stary na głowę jak moja stara babka...

— Ja teraz sam pan w domu moja Olanko!

— A Warwara moja babka coby robiła?.. Ona już i na nogi nie może, któżby koło starej chodził gdyby mnie nie stało...

— Czyż to nie można znaleść kobiety coby chodziła koło niej... jabym dobrze zapłacił... i znalazłaby się...

— Już to za pieniądze nikt jej tak nie posłuży jak ja, bo co serce to nie pieniądze....

— Ciebie by wszyscy we dworze słuchali, tybyś panią była....

— Słuchajcie, miły mój paniczu; nie mówcie mi o tem więcej, jeżeli mnie kochacie... bo wiecie sami dobrze, że jak będziecie mnie prosić, i tak patrzyć, jak teraz patrzycie mi w oczy, i tak całować słodko jak teraz całujecie, to ja wszystko zrobię... wszystko... i pójdę nie tylko do dworu za wami, ale i w świat daleki i nawet w same piekło, chociaż je nam dobrodziej tak okropnie opisuje, że aż człowieka zmory przechodzą.. Ale nie długobyście się mną cieszyli paniczu....

— Dla czego moja Olanko?...

— Bo... jak Warwara poszła do dworu, to straciła głowę... a moja biedna matka... jak wróciła z dworu... to i umar a... a mnie sierotą zostawiła...

— Powtarzasz baje i przesądy starej Warwary!...

— Ona czasem rozumniej od drugich gada...

— Tybyś nie zwariowała.... nie umarła... tybyś szczęśliwą we dworze była... i ja by był szczęśliwy...

— Ja paniczu... ja... jakby na mnie krzywo patrzyli, a wszyscy palcami przy cerkwi wytykali... ja bym pobiegła o tam na wierzch czarnej góry, i z niej bym się rzuciła w pierwszą przepaść...

— Co ty mówisz Olanko!

— Paniczu!... nie mówcie już o tem... ja was proszę... płaczliwym prawie wyrzekła głosem, pocałowała go w czoło, i złożyła ręce jak do modlitwy.

— A teraz mój złoty paniczu!.. idźcie już... by nas kto nie widział... przy was bo mnie czegoś tak serce bije... jakby co złego stało nademną... Idźcie już!..

— Widzisz jak ja cię kocham Olanko! Co chcesz robisz ze mną. Już ci więcej mówić nie chcę... ale wierz mi że sama poźniej przystaniesz... A teraz i tak spieszyć muszę, bo się spodziewam gości w domu.

— Gości? jakich gości? — zawołała ciekawa dziewczyna.

— Nudnych gości, i co gorzej nudnego może zajęcia. Mają przyjechać jakieś urzędniki i jacyś wojskowi, aby wyśledzić i złapać jeżeli się uda czarnego Iwana.

— Czarnego Iwana! — ozwała się dziewczyna z przestrachem.

— Tego herszta opryszków, który od niejakiego czasu tyle robi szkody i rozbojów w okolicy. Jakiś tam żyd podobno przyrzekł że go wyśledzi.

— A gdzież jego złapać... taże on jak ludzie mówią, ma takiego czarta co mu służy....

— I sam czart mu nie pomoże, jak go złapią... A radbym widzieć go, bo to przecie musi być walny i tęgi chłop....

— Jabym się bała popatrzyć na niego. I cóż mu zrobią jak go złapią.

— A cóż! powieszą!..

— To ja nie chcę by go złapali...

— A cóż ci to szkodzi....

— Bo to musi być okropnie, być powieszonym.....

— Bądź zdrowa, moja kochana Olanko!... a pamiętaj.. wieczorem jak zawsze przyjdę pod waszą chatę.

— Oj paniczu to bardzo źle.... a jak Warwara zobaczy...

— Taże ona nie złazi prawie już z przypiecka — chatę tylko zostaw otwartą, a ja wskoczę do komory, a ty przyjdziesz do mnie... prawda że przyjdziesz Olanko moja luba...

— No przyjdę — przyjdę już,... ale czy nie wiecie jak ja się zawsze stracham, bo babka to ona zdaje się i przez szparę widzi.

— Śmiej się z tego!... do widzenia się...

— Idźcie zdrowi!... Ja wam będę śpiewać, byście jeszcze mój głos słyszeli, póki nie zajdziecie do dworu...

— A ja ci z daleka wtórować będę.

I po naiwnym jeszcze uścisku i niejednym całusie rozeszli się. Pan Piotr zeskoczył ze skały, i prosto po za jej sodłam pobiegł ku dworowi. Olanka wierna przyrzeczeniu zaśpiewała jednę z tych piosnek prawdziwie góralskich, których głos ostatni przeciągnięty urywa się nagle, dla tego zda się, by go echo porwawszy niosło dalej od skały do skały odbite, aż gdzieś zamilknie w ciemnem przepaścistem gór urwisku. Głos jej nie był uczony, ale czysty, dźwięczny i harmonijny nawet, jak zwykle bywają głosy górskie, bo z czerstwych i zdrowych piersi wydobyte. I przez chwilę trwała śpiewka, aż się ozwało po za nią i przed nią, echo skał, i echo z męskiej piersi pana Piotra dobyte. I coraz ciszej brzmiał śpiew dziewczyny; coraz cichsze były oba echa; aż wreszcie wszystko umilkło, a Olanka w dawną znowu wpadła zadumę.

Czarny góral stał przez ten cały czas nieporuszony, oparty o krzyż...

— Olanko! Olanko! — ozwał się nagle głos męski, silny i donośny.

— Kto mnie woła! — krzyknęła przestraszona na prawdę dziewczyna, i zerwawszy się z siedzenia swego, gdy postrzegła nagle niezwykłą postąć czarnego i zarosłego górala, zaczęła jeszcze przeraźliwiej krzyczeć, i zasłoniła oczy obiema rękami.

— Czegoż się boisz głupia dziewczyno!... — mówił góral dalej, głosem jak mógł najdonośniejszym, bo przestrzeń ich dzieląca była dosyć daleka.

— Zkądże wy mnie znać możecie, kiedy ja was nie znam...

— Ja ciebie znam dawno... bardzo dawno; odrzekł góral; a głos jego chociaż zawsze donośny stawał się coraz miększy, jakby dla wzbudzenia jej zaufania.

— Czy mnie dawno znacie!.. — zkądże?..

— Znam, i życzę dobrze z całego serca.

— Wy mnie dobrze życzycie!.. — odpowiedziała z zadziwieniem, i odkrywszy oczy, zaczęła mu się przypatrywać z uwagą.

— Lepiej nawet, od tego panicza, co teraz poszedł.....

— Toście go widzieli?

— Stałem tu przecie... ledwie na wystrzał fuzyi...

Biedna dziewczyna zadrzała mimowolnie, i ledwie wybełkotała:

— I cóż chcecie odemnie?.. czegoście wołali na mnie.

— Słuchaj mnie Olanko!.. powtarzam ci, że cię znam dobrze i od dawna, i życzę ci bardzo dobrze, życzę jak by ci życzył twój ojciec, albo bracia twoi...

— Ja mam jednego brata... drugi i ojciec gdzieś powędrowali w świat, jak ja jeszcze o tyla była, i nie wrócili więcej.

— Wiem o tem moje dziecko... Ale już mnie więcej nie pytaj o nic, tylko słuchaj, bo ja nie mam czasu tak próżnować, jak ten twój panicz co się koło ciebie kręci. Ja cię przyszedłem przestrzedz, abyś się z nim nie wdawała, bo będziesz nieszczęśliwą.

— On mnie tak kocha....

— Kocha... a potem przestanie i zdradzi... bo oni

tak wszyscy robią. Gdyby który z nich chciał nawet inaczej zrobić, to mu drudzy nie dadzą, bo go wyśmieją....

— Ale on taki dobry!...

— Głupia dziewczyno!.. Tobie się zdaje, że on dobry, bo cię całuje... I już widzę, że z ciebie uczciwość wycałował, kiedy bronisz tego, przez którego ojca, twoja babka zwariowała, twoja matka umarła, twój ojciec i brat jeden pomarli może gdzie zgłodu, jeżeli co gorszego się z niemi nie stało, a drugi brat z wolnego górala został podłym sługą, psem na uwięzi u nieprzyjaciela.

— Cóż panicz temu winien?... on był jeszcze małym dzieckiem.

— Co ty wiesz głupia!.. U nich to idzie krwią... Ich pradziad i dziad i on i jego prawnuki byli i będą naszemi nieprzyjaciołami. To już taka krew zepsuta! Mówiłem ci już raz, nieprzeszkadzaj mi i słuchaj. Gdyby twój ojciec żył, i widział że ty się z tym młokosem całujesz, to by cię przeklął; twój brat Iwan, gdyby to widział, to by cię własną zabił ręką....

— A mój brat Mykita... nic mi nie mówi...

— Twój brat Mykita może i nie wie... a jeżeli wie i milczy, to na niego przyjdzie godzina obrachunku. A potem co ty durna, możesz wiedzieć co twój brat Mykita ma na myśli... Ja ci to tylko przyszedłem powiedzieć, że jeżeli kochasz tego panicza, to przez miłość dla niego, uciekaj od niego; bo jak mnie widzisz żywego, jeżeli on ciebie uwiedzie, i zabierze na wieczny srom do dworu, to go nieminie kula z mojej ręki... bo za żonę ciebie nie weźmie... chociaż i tego nie chcę... nie chcę... nie... to zawsze krew pańska.

— Za żonę!.. kto wie!.. on mnie tak kocha...

— Jaka ty durna! aż przykro słuchać!.. my dla takich jak on ludzi to gorzej bezrogi... która się póty karmi, póki nie będzie tłusta... a jak się utuczy, to się ją zarznie, zje... i... precz z nią... Przestrzegłem ciebie Olanko!... i bądź pewna, że prędzej Czarna góra przewróci się tu na wznak, niżeli ja słowa mego nie dotrzymam.

— Boże mój! cóż ja mam robić!...

— Bądź poczciwą góralką Olanko!.. a bóg tobie pobłogosławi... i wierz temu, że ja ci dobrze, ot tak z całego serca dobrze życzę....

— Jak was słucham... to mi się chce wierzyć... i im więcej was widzę, to zdaje mi się żem waszą twarz gdzieś widziała...

— Może we śnie. Bądź zdrowa Olanko... a jakby wasza biedna staruszka umarła... to ja przyjdę po ciebie... i będę ci razem i bratem, i ojcem i matką, i babką; a taka opieka, więcej warta od opieki kochanka, który cię uwiedzie, i potem biedną zostawi pod płotem... Bądź zdrowa Olanko..

Co rzekłszy, odwrócił się czarny góral. Olanka, która od niejakiego czasu z uwagą mu się przypatrywała, uderzyła się nagle w głowę jakby sobie co przypomniałá i zawołała:

— Słuchajcie! słuchajcie no!..

— Czego jeszcze chcesz?...

— Wy zapewne jesteście z gór!.. tam!..

— Cóż tobie do tego...

— Bo widzicie... ja chciałam wam powiedzieć nowinę.

— Mnie!.. nowinę?... — zapytał zdziwiony.

— Tu dziś do dworu mają przyjechać żołnierze i urzędnicy, i chcą złapać tego, co to go nazywają czarnym Iwanem... aby go powiesić... Jakiś parch żyd go zdradził...

— Tak... a ty nie chcesz, żeby go złapali i powiesili?

— Nie chcę... oj nie chcę....

— Ty przecie jesteś poczciwa góralka!... Jeżeli kogo z gór zdybię co będzie ciekawy tej nowiny, to mu ją powiem... Bądź zdrowa Olanko.

I poszedł ścieszką co wiodła ku wsi, a przebiegłszy przez krawędź boru na drugą jej stronę, po mału, trzymając się to cienia boru, to rozmaitych wklęsłości skalistych, jakby nie chciał być widzianym, zbliżał się do drugiego najodleglejszego wioski końca. Na samym końcu wioski opodal nieco od drugich, na lekkiem wywyższeniu wśród mocno zacienionego sadu, stała chata, która była ostatnią we wsi, a zarazem przy niej kończył się ten ogromny parów, w którego przepaścistej głębi, był ów o jakim na wstępie mówiłem, labirynt skał z rozrzuconą po nich Kryweńką. Do tej więc chaty przyjść można było, idąc czy jedną czy drugą stroną parowu. Jakoż podczas gdy jak mówiliśmy po jednej stronie parowu postępował czarny ów góral z pewną ostrożnością, drugą stroną parowu tworzącą jar daleko obszerniejszy, przyspieszonym krokiem szedł inny góral, który powierzchownością swoją mocno się różnił od naszego górala czarnego. Był on równie wysoki, ale więcej barczysty, chociaż po lekkim miarkując chodzie, i po wywijaniu toporkiem, co jest największą zabawą górali, mało kto mógł mu wyrównać w sile i zgrabności. Miał także czarne włosy i oczy i twarz śniadą, ale włosy byli daleko krótsze, a na twarzy więcej było zdrowia a mniej może wyrazu. Co do stroju, ten był nawet wykwintny rozmaitością barw, haftów, mosiężnych przyborów, i cieńszej nad zwykłą bielizną. Szedł on jak mówiłem pospiesznie i mało przed siebie uważał. Gdy jednakże stanął, i dobywszy z torbeczki krótkiej lulki zaczął ją sobie nakładać, postrzegł przypadkiem owego drugiego górala po drugiej stronie parowu. Nie byłoby go to zapewne uderzyło, gdyby nie dostrzegł, właściwym tym góralom bystrym wzrokiem i pojęciem, że idący postępuje z niejaką ostrożnością. Czy więc to, czy może ten czarny zupełnie jego strój, dosyć, że idąc dalej od niechcenia zaczął tamtego śledzić. I przekonał się wi-

docznie, że tamten korzysta ze wszystkich zagięć górzystych, aby nie postępując ścieszką, zbliżyć się przecie do końca wioski i parowu. Snać to właśnie najwięcej zajęło naszego strojnego górala, bo twarz jego dotąd spokojna i nic nie znacząca prawie nabrała wyrazu czy niepokoju czy wzburzenia, ale tak silnego, iż by go najlepszy znajomy nie poznał w tej chwili. Namiętności tego człowieka muszą być niepospolite, ale też i niepospolita zapewne władza nad sobą.

Raz przyszła chwila, w której czarny góral, musiał się jawniej niż dotąd pokazać; wychodząc bowiem z za załomu, musiał wyższem i otwartszem iść miejscem. Tu uwaga strojnego górala podwoiła się, wzrok jego natężony utkwił nieruchomie na drugiej parowu stronie. Za rzeczonym załomem, było dwie ścieszek, jedna szła do drogi, która z parowu wychodząc szła w góry, druga zaś ledwie dostrzeżona ścieżeczka prowadziła do owej osobnej chaty. Góral strojny ściął zębami tak silnie, aż odgryzł cybuszek z którego kurzyć zaczął. Czarny góral, przemknął się wprawdzie jak łyskawica, ale niedosyć szybko, by strojny góral nie postrzegł, że się zwrócił ku rzeczonej chacie, a po stroju i twarzy, wnet poznał, że to obcy jakiś człowiek. Przyśpieszył więc jeszcze kroku, tem więcej, że miał jeszcze wielką połowę łuku do przebycia, a na twarzy wrzała burza namiętności dzikich. Oczy jego łyskały jakimś gniewem niesłychanym. Niedarmo mówią, że góral ma długie nogi; jakoż jak zaczął niemi machać ledwie dziesięć minut minęło, przebył drogę, dla zwyczajnego chodu półgodzinną prawie, i zbliżył się do samotnej chaty. Lecz twarz jego zmieniona była znacznie. Ani śladu na niej wzburzenia, gniewu, namiętności; dawny wrócił wyraz głupkowaty nawet troche swym uśmiechem, i pewnym rodzajem rubasznej małodbałości. Kto dłuższy czas mieszkał w górach, łatwo się mógł przekonać, o szczególnej w tej mierze władzy, jaką górale mają nad sobą, i niepospolitej zgrabności w układaniu twarzy i postawy, jaką im przybrać należy. W tej mierze jak w wielu innych niema może sprytniejszego plemienia sławiańskiego nad górali. Nieraz w podróży zdybać można górala niedbale i zgarbionego idącego, który ci się pokłoni nadzwyczaj nizko, jeżeli nie poprosi o jałmużnę, i podróżny ledwie pogardliwym okiem popatrzy na tę twarz bez wyrazu, na to oko zamarłe. Jakież byłoby jego zdziwienie, gdyby go ujrzał w parę godzin później przewodzącego garstce opryszków, z wyrazem takiej dumy, takiej wyższości umysłowej, ze wzrokiem tak silnym odwagą i srogością, iż by go bezpiecznie malarz mógł wziąść za wzór, któregokolwiek ze sławnych bandytów włoskich lub hiszpańskich. Udanie to u nich jest hołdem oddanym konieczności, jaka ich nagina do pewnych prawideł życia, a wyraz prawdziwy, to wyraz tej siły, którą ich duch w otoczeniu nieco wolniejszem i swobodniejszem nabrać musi.

Lecz wróćmy do naszego strojnego górala. Dochodząc do zagrody, postrzegł kobietę wracającą ze sadu do chaty. Na jego widok kobieta wydała rodzaj krzyku, który można było wziąść za krzyk witającej radości. Czy goral tak go przyjął, trudno było zrozumieć, to pewna, że przyspieszył jeszcze kroku, a że i kobieta naprzeciw niemu biegła, zdybali się w pół dziedzińca, i uściskali najradośniej. Niemniej przeto góral gdy góralkę przyciskał, śledczym wzrokiem oglądał się po sadzie, i w około, lecz nikogo i nic nie ujrzał. A choć nawet lekko ociągającą się góralkę pociągnął za sobą do sadu, żadnego nigdzie nie zdybał ani śladu ani zasłyszał ruchu. A tym czasem kobieta pieściła go, całowała i głaskała z zapałem tak prawdziwym, że mimowoli twarz strojnego górala jakby zwierciadło jakie odbiła ten sam zapał. Zawrócił z nią do chaty, i to śmiejąc się, to żartując, przeszedł wszystkie jej kąty. Nigdzie nic, wszędzie po dawnemu, po znajomemu. Aż splunął na poły po fajce, na poły ze złości, i pomyślał przez chwilę czy go jaki zły duch nie omamił, a nawet natężał pamięć by sobie przypomnieć, czy nie wyszedł przypadkiem z domu, bez zmówienia pacierza i zrobienia świętego krzyża. Jakoż z pewnym rodzajem czułości serdeczniejszej niz zwykle porwał kobietę w pół, i zaczął ją całować i pieścić, jakby ją chciał przepraszać za chwilowe posądzenie.

— Co tobie Mykito! — spytała kobieta, patrząc mu często i ciekawie w oczy. Ty jakiś nie swój... nie tak jak zawsze.

— Ja? — zasmucił się Mykita, i by pokazać, że niezmieniony odrzucił krótką fajeczkę, i powtórzył swe energiczne uściski.

Jakoż w rzeczy samej Mykita kochał namiętnie Małankę. Małanka była kiedyś ubogą bardzo dziewczyną, ale uchodziła za najpiękniejszą we wsi. Zakochał się w niej stary dziad, zgrzybiały już i bogaty gajowy, i ożenił się z nią na to, aby ją w trzy miesiące zostawić wdową bogatą. Już na weselu poznała Małanka Mykitę, i pokochali się nawzajem. Kronika skandaliczna, która równie istnieje w Kryweńce, jak i w pierwszej stolicy Europejskiej twierdziła, że ten romans trwał i bujał doskonale za życia nieboszczyka, który nim został podobno ze złości i zazdrości. Po śmierci starego, Mykita został jej przez całą wieś uznanym kochankiem, i odwiedzał ją ile mógł najczęściej. Kochał ją zaś namiętniej i szczerzej niż to jest we zwyczaju górali; on ją bowiem kochał po sile swego usposobienia namiętnego. Górale w rzeczy samej są w tej mierze nadzwyczajnie mało namiętni, a co więcej, mało uważający na wierność nie tylko kochanek ale i żon swoich. Kobieta jest u nich chwilową rozrywką, której i drugim nie zazdroszczą, a nieraz się zdarza, że gościnność swą w górach z wszelką scisłością dochowywaną, posuwają do tego stopnia, że na najgorętsze gościa polecanki do żony

lub córki patrzą przez palce, czyli raczej całkiem nie patrzą. Są i u nich przeciwne wyjątki, zazdrości niepohamowanej, i wścieklejszej może niż gdzie indziej przez to samo, że ich namiętności mniejszemi szrankami niż w dolinach ograniczone, są silne i potężne. (D. c. n.)

Pielgrzym.

Z ubogą szatą, ż dalekiej strony,
Idzie gościńcem pielgrzym strudzony.

Na boku drogi, w chacie brzmią śpiewki;
Zwinna gosposia zastawia stoły,
W wieńce z bławatków stroją się dziewki,
Smieje się w tańcu młodzian wesoły;
Starszyzna siedzi, dawny czas chwali.
Pielgrzym zapłakał..... i poszedł dalej.

Tuman na drodze...., z trąbami, w gwarze,
Hej! jadą konie, zwycięzkie szyki!
Strojne chorągwie, szczęśliwe twarze,
Echa radośne niosą okrzyki!.....
I dzwonią szable, i brzmi chrzęst stali!.....
Pielgrzym zapłakał..... i poszedł dalej.

Na boku drogi, stoi dwór pana;
W oknie otwartem zasłony, kwiaty,
W bogate księgi ozdobna ściana;
Pan z księgą siedzi w środku komnaty,
A wzrok się jego mądrością pali!
Pielgrzym zapłakał..... i poszedł dalej.

A idąc, cicho te nucił żale;
„Smutno mi w drodze..... gdzie wiejska chata,
„Krótko brzmi szczęście, długie boleści.....
„Krew bliźnich płynie w rycerza chwale!
„Pan w księgach siedzi, lecz mądrość świata
„Złudny fałsz wplotła do prawdy treści."

Więc poszedł dalej przez łany świeże,
Kędy się czerni las za kościołem,
Na boku drogi mur stoi kołem;
U bramy widać trawę i krzyże,
I jacyś ludzie z trumną zjechali,
Pielgrzym zapłakał,.... lecz nie szedł dalej.

On nie nad trumną, ale nad temi
Płakał, co za nią idąc, płakali,
Lecz chociaż we łzach, nie poszedł dalej,
Pomnąc że wszystko znika z pod słońca,
A radość pierwsza ucieka z ziemi.....
Tu zaś to znalazł, co niema końca!

Wieczność spoczynku, — we śnie wesele,
Tu więc położył kres swej podróży,
I przy cmentarzu i przy kościele
Żył sobie zdala od świata burzy;
Sami go zmarli już odwiedzali,
Aż i on z niemi poszedł gdzieś dalej..... *Deotyma.*

Życzenie.

Kiedy w oko spojrzę Twoje
Jakby w niebie wzrok mi tonał —
Wszystkie życia tego znoje
Jasnem skrzydłem anioł zwionał —
Wszystkie chęci i niechęci
Tego świata gasną w mroku —
Jakiejś błogiej niepamięci
Cud w Twym lubem świeci oku.
I czem burze lat tysięcy
Oszpeciły ziemię bożą,
Twój aniele wzrok dziecięcy
Wypięknia mi swoją zorzą;
Znowu młodym kwitnie majem —
I znów jakby dnia pierwszego,
Nie nad ziemią, lecz nad rajem
Wschodzi słońce — z oka Twego.
Obyż wiecznie i dla Ciebie
Kwitł Twych źrenic dzień wiosenny —
Żadnym cieniem na Twem niebie
Nie skażony i niezmienny —
Cienie, — chmury — po za krańcem,
Twojej duszy niech zostaną,
Szczęsny, komu choć wygnańcem
Po jej raju przemknąć dano! *M. M.*

Teatr.

Szanowny Redaktorze!

Wyczytawszy w piśmie twojem uwagi o teatrze naszym polskim, które najzupełniej trafiają do przekonania mego, wzięła i mnie chętka przesłać ci kilka uwag w tym samym przedmiocie. Zostawiam to wszakże woli twojej, czyli zechcesz zrobić jaki z nich użytek, i czyli umieścisz je tak po prostu, jak ci je przesyłam, lub nadasz im inną, przyzwoitszą może dla pisma beletrystycznego formę. Bo już to ja po prawdzie na literata się nie kształciłem, i jako szlachcic prosty, *quondam possessionatus,* dziś na starość osiadły w mieście i amator teatru, uwagi o nim podaje ci nie z stanowiska literackiego, ale ot tak po prostu, i wedle mego gospodarskiego rozumu ze stanowiska praktycznego. Owoż by długo nie gawędzić, a już to do gawędki mam słabość, przystępuję do rzeczy. Od niejakiego czasu weszło w zwyczaj naszej sceny polskiej, dosadzać benefisami bez liku. Nie mówię już o aktorach celniejszych, ani nawet o średnich, ale każdy niemal aktor, który ledwie po kilka słów wybąknie w rolach podrzędnych, dostaje benefis od dyrekcyi teatru. Nie chcę się już w to wdawać, że jest to przecie rodzaj postpozycyi naszych poczciwych i zasłużonych artystów, bo choć ja to czuję doskonale, nie umiałbym może wyrazić należycie — ale co gorzej benefisy te mają jedynie przywilej do nowych sztuk, gdy tymczasem my dobroduszni abonenci kontentować musimy się staremi, na pamięć już znanemi sztukami. Owóż i tu mógłbym coś powiedzieć o despekcie dla abonentów, lecz uderzając wprost w część praktyczną tej kwestyi, powiem jeno, że mi wyrachowanie w tym względzie dyrekcyi nie idzie jakoś do głowy. Wiem ja wprawdzie, że wedle nowej metody, za moich młodych lat niesłyszanej i niepraktykowanej a zaprowadzonej przez ś. p. hr. Skarbka, są to tylko pół czy ćwierć benefisy, przynoszące samej dyrekcyi większą część zysku. Ale niech mi wolno będzie powiedzieć, jest to rachunek niepraktyczny. Jak

świat światem, a teatr teatrem, abonenci byli, są i będą zawsze głównym filarem, podtrzymującym część kieszeniową każdej dyrekcyi teatralnej. Niechaj tylko znikną abonenci a teatr nie utrzyma się samemi nadzwyczajnemi przedstawieniami, zależącemi zawsze od przypadku. Abonentów zatem odstręczać nienależy, a choć to bywa zwykle ród nader cierpliwy, który już z nawyczki ciągnie na swoje miejsca w teatrze, muszą się odstręczyć koniecznie, jeżeli ich dyrekcya karmić będzie ciągle starożytnościami repertoarzowemi. Długi czas zapewne będą drzymać po swoich krzesłach, ale nakoniec zrozumieją, że wygodniej drzemać w własnym pokoju, i przestaną bywać w teatrze jakto już po większej części byli uczynili, aż teraz dopiero znów ruszać się poczynają. Z drugiej strony gdyby dyrekcya zamiast gęstych benefisów dawała w abonamencie dobre sztuki, ściągnęłaby powoli większą liczbę widzów, którym uczęszczanie do teatru stałoby się drugą naturą. Dziś bowiem utwierdziło się już powszechnie to zdanie, że warto jedynie wtedy pójść do teatru, gdy grana jest sztuka benefisowa, że uczęszczać więc do teatru nie warto regularnie, lecz tylko wyjątkowo. Lepiejby było podobno mieć po 200 lub 300 złr. z przedstawień 12 abonamentowych, niż z benefisu wziąć 300 do 400, aktorowi z pensyi potrącić do tego 150, więc mieć razem zysku 450 do 500 a potem i po 100 reńskich nie mieć z następujących przedstawień abonamentowych. Zdaje mi się tedy że taki obyczaj wprowadzony przez ś. p. fundatora, benefisami płacenia aktorom niewiele wart, i wygląda mi to jakoś na świat do góry nogami przewrócony, aby chcieć teatr utrzymywać w świetnym finansowym stanie za pomocą benefisów raczej, niżeli za pomocą abonamentów. Jezeli mi wolno więc użyć porównania, jest to jakby one gospodarstwa wiejskie, w których nowomodny gospodarz, jakich *inter parenthesim* powiedziawszy, zdybać można w naszej do naśladownictwa cudzych obyczajów skłonnej ojczyznie, zamiast opierania swego budżetu gospodarskiego na pszeniczce, tej naszej od wieków dobrodziejce, zaczął forsować rozmaitemi trawkami i pokrzywkami, które mają swoją stronę pożyteczną, ale koniec końcem, nie są dla kieszeni gospodarza, tem czem jest poczciwa pszenica. Dobra i trawka mości dobrodzieju, ale łan zastany złotemi kłosami to grunt! Owóż dla dyrekcyi teatralnej tym łanem, zasłanym złotemi kłosami jest wedle mnie teatr napełniony abonamentowemi widzami. Ażeby na tym łanie były kłosy gęste, a zatem intratne, trzeba go obdarzać od czasu do czasu nowym pognojem, który expensować pod trawę jeno, jak mi bóg miły nigdy się nie opłaci. Mógłbym jeszcze nie jeden sens moralny wyciągnąć z tego porównania, ale zaprawdę obawiam się własnego gadulstwa, na które nieraz sarkali moi młodzi na wsi sąsiedzi, a zresztą: *Sapienti sat!*.. Mądrej głowie dość na słowie. A jużciż przemawiam do dyrekcyi.

Dwuletni i wierny abonent teatru polskiego we Lwowie.

Rozmaitość.

Dom gry w Akwizgranie. — Jak wiadomo, zakazane są ruletv i gry hazardowne w całym obszarze państwa pruskiego. — Akwizgran, któremu ruleta nadzwyczaj wielkie czyni dochody, uzyskał na nią pozwolenie za ogromny roczny podatek, ale mimo to otoczyła pieczołowitość rządu i policyi wstęp do tego piekła czy raju takiemi warunkami i ostrożnościami, że trzeba pewnej decyzyi i odwagi, aby się doń awanturować. Naprzód otóż trzeba w biorze znajdującem się na parterze *Kurhausu* zameldować swoje nazwisko, które idzie w jakąś czarną księgę. Następnie dopiero uzyskuje się bilet *personnel et valable pour 8 jours*, za którym można pójść do salonu znajdującego się na pierwszem piętrze. Ale i tu jeszcze znajduje się w przedpokoju policyanta i żandarma, a w dodatku olbrzymią drukowaną kartę, na której wyraźnie zakazano puszczać się w głąb niebespiecznego przybytku: 1. osobom nie mającym jeszcze 21 lat skończonych; 2. urzędnikom zatrudnionym przy kassach rządowych; 3. mieszkańcom miasta Akwizgranu. Mimo to wszystko, znajdziesz tu zawsze prawie pełne obie sale tak karciarską jak i ruletową. Grywa się tutaj 9 godzin dziennie. Pierwsze posiedzenie trwa od 9-tej z rana do 12-tej w południe; drugie od 3-ciej do 6-tej po południu; trzecie nareszcie od 9-tej do 12-tej w nocy. Prócz podróżnych i ciekawych, w których liczbie n. p. i ja się pomieściłem, znajdziesz tu zawsze podobno, przynajmniej w ciągu jednej *Saison*, te same figury: dekorowanych cywilistów, komiwojażerów, elegantów z żabotami i szkiełkiem w oku, a co lepsza, starsze i młodsze kobiety a nawet i wcale ładne i młode panienki. Już na dobre pół godziny przed rozpoczęciem gry, przechadzają się po sali w około zielonego stołu gorliwi gracze, a gdy wreszcie fatalna godzina wybije, wchodzą stękając pod ciężarem trzech szkatuł z pieniędzmi przedsiębiorcy gry, rozstawiają się na stole, — sortują pieniądze na złoto, papiery, śrebro, — na pieniądze krajowe i zagraniczne; gracze zajmują krzesła, za nimi staje drugi, trzeci i czwarty szereg, bądź ciekawych, bądź także graczy: wkrótce pokrywa się *rouge, noir* 12*a*, 12*b*, 12*c*. pieniędzmi różnego rodzaju, począwszy od naszej dwuzłotówki, a wśród najgłębszego milczenia słychać wtedy tylko komendę bankiera: *rouge impair manque — rouge impair passe*, — brzęk pieniędzy suwanych drewnianemi widełkami albo do banku albo ku wygrywającym i kroki przychodzących na nowo lub uchodzących ostrożnie graczy.

Liczba wychodzących nie jest jednakże wielką; zapał czyli raczej namiętność graczy wzrasta co chwila; stawka podwójna od przegranej pokryje stratę z podwójnym zyskiem; pieniądze dzwonią tem donośniej i mówią wymownie za swych właścicieli, którzy jak gladiatorowie rzymscy umierali bez wykrzyku boleści. Ileż tu obojętności pozornej przy wrzącej gorąco, wściekłej i brzydkiej namiętności! Głos jej nie wyda, ale za to przypatrzcie się tym twarzom spotniałym, wlepiającym wzrok w złowrogie sukno; patrzcie na owe czoła z nabrzmiewającemi żyłami, patrzcie przedewszystkiem na kobiety rozpalone, czerwone, poprawiające co chwila włosy, z okiem wydającem już tylko chciwość i chęć wygranej, a przekonacie się, że mowa i głos ludzki nie są jedynemi objawami myśli człowieka, a gdy z ust nieszczęśliwego i roznamiętnionego gracza wyrwie się jaki *bon mot* obojętny, gotowiście wierzyć Talleyrandowi, że mowa na to człowiekowi dana, aby po za nią mógł myśli chować. Czasem spostrzeżecie kogoś wstającego nagle od stołu zielonego i wychodzącego ze spuszczoną głową, prędkim ale chwiejącym się krokiem; kto wie, może na drugi dzień dowiecie się z gazet i pogadanek o jakim tragicznym wypadku; po obiedzie, przy kawie i cygarze będą wam opowiadali o młodym komisionerze, który przegrał pieniądze pryncypała, lub o kuryerze holenderskim, który puścił powierzoną mu własność, a potem w łeb sobie wypalił lub się utopił; ale mniejsza

o to, ruleta i karciarnia będą na wieczór znowu otwarte, znowu pełne i będą znowu podawały romanso-pisarzom i dziennikarzom, jednym materyał do tragicznego końca powieści nadreńskich, drugim do zbogacenia rubryki Rozmaitości. Dla dokładności winienem jeszcze dodać, że zapewnie dla ułatwienia gry cudzoziemcom, przybywającym naturalnie z zagranicznemi pieniędzmi, znajduje się tuż w kurhausie wekslarnia opatrzona w angielskie, francuzkie i niemieckie napisy. (Z dziennika podróży na zachód.)

Album muzyczne. Warszawskiego Towarzystwa wsparcia artystów muzycznych, ich wdów i sieórt, wyszło z druku. Złożyło się na to Album: „Polonez-Mazur" na fortepian p. J. Brzowskiego; „do M." wiersz A. M. muzyka Fr. Chopin (dotąd nigdzie nie wydany); „Romanesca" na fortepian p. J. F. Dobrzyńskiego; „Mazurek" ułożony na fortepian na cztery ręce p. Karasowskiego; „*Romans*" na sopran p. O. Kolberga; „*Zakochana*" dumka J. B. Z. p. Ig. Komorowskiego; „*Dwa Mazurki*" na fortepian, p. Ig. Krzyżanowskiego; „*Mój świat*" wiersz J. I. Kraszewskiego, p. K. Lubomirskiego; Jana Kochanowskiego Tren VI, p. St. Moniuszkę; „*L'attente*" romans na fortepian, p. J. Nowakowskiego; „*Obrazek sielski*" na fortepian, p. J. Sikorskiego; „*Spiew religijny*," na trzy głosy męzkie lub żeńskie, p. Stefaniego. Słowem Album to najznakomitsza z polskich publikacyi muzycznych tego roku, równie dla dyletantów, jak i dla artystów jest pociągające.

Wielcy artyści mają także swoje słabości. Sławna **panna Rachel** choruje od dawna na nieprzezwyciężone skąpstwo. Gdy przyjechała na gościnne role do **Petersburga**, założyła obok niesłychanie wysokich cen jeszcze ten warunek, żeby do żadnej loży niewchodziło więcej nad sześć osób. Dyrekcya teatru przystała na to, ale Cesarz chociaż zwykle uczęszczał do teatru Michajłowskiego, w którym występowała panna Rachel, nieprzychodził nigdy na jej przedstawienia. Natomiast spotkał sławną artystkę ten zaszczyt, że występowała we dworze i przy tej sposobności została przedstawiona wielkiemu Carowi. W najtkliwszych i najuniżeńszych wyrazach dziękowała panna Rachel za to wysokie szczęście, żałując tylko, że wielki Monarcha nieraczył nigdy jeszcze zaszczycić w teatrze Swoją obecnością, i prosząc go w pochlebiający sposób o tę łaskę. Cesarz słuchał ją wprawdzie, ale wzrok jego był przytem tak ostry, a postawa tak poważna, że wymowna Francuzka zmieszała się cokolwiek; co spostrzegłszy Monarcha, któremu widocznie zależało na tem, aby upokorzyć chciwą artystkę, rzekł niełagodząc niczem jej zakłopotania: „Pani sama ograniczyłaś liczbę widzów, dlatego nie mogę uczynić zadość jej życzeniu; moja familia, pani, jest zanadto liczna."

Szamyl bohater Kaukazu, ma być średniego wzostu, blondyn o siwych oczach, kształtnym nosie i małych ustach. Idąc, trzyma ręce tuż przy samem ciele. Posągowy spokój, który go nieopuszcza w największém nawet niebezpieczeństwie, nadaje szczególną powagę jego postaci. Z nieprzyjaciółmi i zbrodniarzami rozmawia bez najmniejszego znaku oburzenia lub żądzy zemsty. Sam uważa się za narzędzie boże, je mało, pije tylko, sypia tylko kilka godzin i przepędza wolny czas na czytaniu koranu i modlitwach; ale gdy mówi, pryskają iskry z jego oczu a kwiaty z ust, jak mówi o nim Bersek-Bej. Nawet teraz jeszcze, w 50. roku życia, jest Szamyl czerstwy i silny jak młodzieniec, chociaż cierpi ciągle na oczy. W bitwach brał on rzadko kiedy i to tylko w ważnych wypadkach osobisty udział. Dwupiątrowy dom jego, zbudowany przez zbiegów wojennych zupełnie w guście rossyjkim, jest wewnątrz bogato przyozdobiony różnemi zdobyczami. W roku 1844 wiedziano o trzech żonach Szamyla, między któremi miała być jedna Ormianka nadzwyczajnej piękności, zwana „Perłą haremu." Także wspominano o kilku synach tego bohatera. —

Mormoni, sekciarze religijni w Ameryce zowią się świętymi, ale gdy idzie o odebranie zaległej pożyczki, przybierają zanadto ziemski charakter. Jeżli dłużnik niechce zapłacić, nietrapią go i nieoskarżają nigdy, lecz stawiają mu trzech drabów przed domem, którzy przez cały dzień niemiłosiernie bębnią i świszczą. Pewien dziennik amerykański powiada, że żaden dłużnik niewytrzyma przez trzy dni tej nieznośnej muzyki. Taki środek kosztuje Mormonów dziesięć razy mniéj niż najtańszy proces. —

Dawni Rzymianie wyprawiali swoich nieboszczyków tylko z małym pieniążkiem do krainy wieczności, **królowie** zaś **Madagaskaru** zabierali z sobą do grobu cały swój majątek dla opłacenia rozkoszy niebieskich. Ostatniemu z nich, Jego król. Mości Radanowi, dano do grobu: 49 kapeluszów, 155 surdutów, 96 kamizelek, 171 spodni, 53 par rękawiczek, 47 krawatek, 54 par pończóch, 37 koszul, 38 par butów z ostrogami, 22 par trzewików, 9 par złotych epoletów, 24 sztyletów, 8 par kosztownych pistoletów, 10 szabel, 24 strzelb, berło z kości słoniowej ze złotą gałką, 3 złote zegarki i 10 złotych łańcuszków, 18 złotych pierścieni wysadzanych drogiemi kamieniami, 2 śrebrne talerze, śrebrną filiżankę z łyżeczką, 2 śrebrne lichtarze, złotą wazę, 4 pulpity do pisania, 6 szkieletów końskich, 30 butelek szampana i skórzany worek z 10,300 hiszpańskich piastrów. Niechżeby w Europie naśladował kto ten przykład! —

Niech jedzie na wieś. — „Mój pan, pan Korski chciałby być dzisiaj w teatrze i pyta, jaka będzie sztuka dawana?"— „Niech jedzie na wieś." — „Ale mój pan chciałby być dziś jeszcze w teatrze, a nie wie jaka będzie sztuka dawana." — „Dzisiaj, niech jedzie na wieś" odparł z gniewem zajęty rachunkami kassier teatralny. Lokaj umilkł ale po chwili odważył się po raz trzeci powtórzyć pytanie. Wtedy i kassyer i resztę personalu i obecni goście, myśląc że lokaj głuchy, skoczyli ku niemu i poczęli mu w ucho krzyczeć: powiedz panu Korskiemu, że dzisiaj: Niech jedzie na wieś!

Zadyszany i przestraszony wpada lokaj do swego pana. Panie, coś złego się dzieje! Jedźmy co prędzej. I opowiedział mu, jak wszyscy, komu powiedział, iż pan jego chce być dzisiaj w teatrze, kazali panu powiedzieć: niech dzisiaj jedzie na wieś. Idąc do kassy teatralnej, dodał, spytałem po drodze nawet jednego pana oficera, a koło policyi jednego z panów od policyi, co ma gwiazdki na kołnierzu, i ten to samo panu powiedzieć kazał.

Pan Korski widząc, iż tu coś nie żartem święci się, nie długo namyślał się, lecz kazał spakować i konie natychmiast założyć, a w pół godziny był już za rogatką łyczakowską.

Co będzie opowiadał sąsiadom swoim o swym nagłym wyjeździe ze Lwowa doniesiemy później.

W Berlinie wychodzi teraz w księgarni Nikolaja „**Galerya Szekspira**" nad którą pracują najsławniejsi sztycharze i rytownicy. Pierwszy jej zeszyt będzie zawierał: Mackbetha i Czarownice, rysunku Eichensa; zachwycający obraz błądzącej w śnie lunatycznym lady Mackbeth, rytowany przez Ludwika Jacoby, i Mackbetha uzbrajającego się do ostatniej walki, rysunku Hoffmanna. —

Pewien dzierzawca węgierski wynalazł **nowy sposób przyrządzania chleba** za pomocą **żołędzi**, które najpierw wysusza i obiera z łuski, a potem trze na mąkę i miesza z zwykłą mąką żytnią. Pieczony z tej mieszaniny chleb jest wprawdzie ciemniejszy niż zwyczajny chleb żytni, ale ma być tak smaczny i zdrowy, że podług zapewnienia wynalazcy wyleczył się już niejeden suchotnik najzupełniej przez ciągłe używanie jego. —

Przemyślność naszego wieku wzbogaciła już i dziennikarstwo nowym wynalazkiem. Pewien dziennikarz paryski wynalazł **sposób łowienia abonentów**, zapomocą śmierci. Oto przyrzekł każdemu abonentowi zmierającemu przyzwoity pogrzeb za 100 fran-

ków i taką samą sumę jego pozostałej rodzinie, nadto zapewnił słabym bezpłatnie medycyny i pomoc lekarską. Wszakże założył ten warunek, żeby czytelnik niedostał suchot i przez dwadzieścia lat trzymał jego dziennik.

Okowita z buraków. — Piszą z Francyi, że czwarta część cukrowni w departamentach północnych w tej chwili przerabia się na gorzelnie, gdyż cena alkoholu teraz jest 190 fr. za hektolitr, dawniej zaś tylko 60 do 80 fr. wynosiła, a za tę ostatnią cenę z buraków także może być dostarczony. Sposób postępowania nie jest bliżej opisany, wspominają tylko, że je potrzeba utrzeć i zmięszać z pewną ilością drożdży, że fermentacya idzie szybko, a produkt ma smak doskonały. Najlepszemi sposobami wydobywania cukru z buraków otrzymuje się tylko 6 do 7 procent, gdy tymczasem wydatek alkoholu ma odpowiadać całej ilości zawartego cukru, to jest 11 procentom. Zdaje się że największa trudność w wydobywaniu okowity u nas z buraków spoczywa w niemożności dokładnego ich utarcia przez zwykłe po gorzelniach używane walce drewniane, i że chcąc przeszkodę tę usunąć, a tem samem fermentacyą zaciera z buraków uczynić i szybszą i dokładniejszą, koniecznie musi być do tarcia ich użyty jakiś nowy przyrząd, bo inaczej buraki nie przyniosą właściwej korzyści.

Gałka u laski. — W małem miasteczku francuskiem żył sobie poczciwy obywatel, który nosił zwykle laskę, a na lasce gałkę, która niby jakieś podobieństwo miała z głową ludzką. Nasz poczciwiec wielkim był adoratorem Ludwika Filipa; wmówił więc w wszystkich, że gałka na lasce przedstawia tego króla. I stała się gałka symbolem lojalności jego. Lecz przyszedł Luty 1848 i Ludwik Filip uchodzić musiał z kraju. Imię Ledru-Rollina poczęło nabierać rozgłosu. Nasz poczciwiec biegał po swoich znajomych, pokazywał im laskę i opowiadał, iż gałka przedstawia Ledru-Rollina. Nadeszły wypadki czerwcowe i poźniejsze, Ledru-Rollin zemknął również z Francyi. Niebezpiecznie było przyznawać się do niego. Nasz poczciwiec zrobił przegląd wszystkich osób sławnych i postanowił, iż owa gałka ma przedstawiać Cavagnaca. Czy widzieliście mego Cavagnaca? pytał każdego, kogo zdybał. A gdy po wypadkach grudniowych zaczęto ścigać i stronników Cavagnaca, nasz poczciwiec ogromnie się przelękł. Już widział jak go wiezą, jak go stawiają przed komissyę wojenną. Rada w radę, co tu począć, sąsiedzi wiedzą już co znaczy gałka i sąd się dowie. Trzeba w wodę rzucić gałkę. I poszedł nad wodę, zadumany, zrozpaczony. I właśnie gdy się zamachnął, aby w rzekę rzucić laskę, chwyta go żandarm za rękę, myśląc iż chce utopić się. Przelękniony nasz poczciwiec pada przed żandarmem na kolana. Panie! wierz mi pan, moja gałka to wykapany Louis-Napoleon!

Żandarm widząc iż ten poczciwiec topić się nie chce, rozśmiał się jedynie z przesadnej lojalności jego i odszedł. —

A odtąd gałka na lasce przedstawia Cesarza Francuzów.

Koncert pana Mikulego odłożony został do poniedziałku z powodu przedstawienia teatralnego na dochód ubogich, w którym weźmie udział dziesięcioletni pianista B o g u c k i, syn jednego z lwowskich nauczycieli muzyki.

Z Warszawy donoszą, iż tam **zabawy** się rozpoczęły. Pierwszy bal dali p. hrabstwo Uruscy. Do dwiestu osób było zaproszonych. U nas zabawy prywatne również rozpoczęły się wieczorem u pani z hrabiów Stadnickich S z e p t y c k i e j, danym w niedzielę.

Bale spraszane na strzelnicy będą dawane co wtorek. Pierwszy odbędzie się dnia 24go Stycznia.

Pan Mikuli po odegraniu dwu Koncertów wyjeżdża do Warszawy.

Znaczenie szarady w poprzednim numerze: **Gościniec.**

Szarada.

Pierwsza z drugą wino daje,
Trzecia z czwartą pola mierzy,
Wszystko się za ozdobę książęcą uznaje,
I stanowi część odzieży.

Przyjechali dnia 9. 10. i 11. do Lwowa:

PP. Bocheński Jan i Wiktorian wł. dóbr, z Głęboczka. Bogdanowicz Marcel wł. dóbr, z Brzeżan. Bukowski Adalbert kat. pleban, z Milatyna. Komorowski Piotr hr. i wł. dóbr, z Sokala. Komorowska Józefa hr. i wł. dóbr, z Chorobrowa. Krzeczunowicz Kornel wł. dóbr, ze Stanisławowa. Obertyński Aleksander dzw. dóbr, z Laszkowa. Obertyński Henryk wł. dóbr, z Cieleża. Płocki Konstanty dzw. dóbr, z Maryanpolu. Radzikiewicz Aleksander pleban, z Milatyna. Wiśniewski Wiktor wł. dóbr, ze Strzelisk.

PP. Ciepielowski Dyonizy c. k. radc. s. k., ze Sambora. Czaykowski Waleryan dzw. dóbr, z Nadyczy. Dobrzański Antoni c. k. radca foralny, z Brzeżan. Gołuchowski Artur hr. ze Skały. Grabowski August zarz. dóbr, z Przemyśla. Gradowicz Rudolf c. k. radca finans., z Przemyślan. Grochowalski Antoni wł. d., z Janczyna. Gross Piotr wł. dóbr, z Koniuszki. Janiszewski Jan dzw. dóbr, z Wierzbiąża. Michalewski Antoni wł. dóbr, z Brzeżan. Olszewski Tyburcyusz wł. dóbr, z Zaleszczyk. Puzyna Włodzimierz dzw. dóbr, z Signiówki. Romański Wincenty kóm. pogr. z Rohatyna. Strutyński Andrzej dzw. dóbr, z Ottyniowic. Szuyski Piotr wł. dóbr, z Brzeżan. Trzciński Piotr wł. dóbr, z Żurawna. Udrycki Adolf wł. dóbr, z Choronowa. Ziembowicz Jan dzw. dóbr, z Stanisławowa. Żukiewicz Konstanty wł. dóbr, ze Złoczowa.

PP. Bazylewicz Mikołaj gr.-kat. pleban, z Żurawna. Demiszczak Plato gr.-kat. pleban, z Tuligłów. Dumański Bazyl gr.-kat. pleban, z Gołogóry. Kormos Jan gr.-kąt. pleban, z Sądowejwiśni. Winnicki Stefan gr.-kat. pleban, ze Stratyna.

Wyjechali dnia 9. i 10. stycznia ze Lwowa:

PP. Gołębski Marceli wł. dóbr, do Brzeżan. Gradowicz Rudolf c. kr. radca finans., do Przemyślan. Papara Stanisław wł. dóbr, do Dolnicz. Zamorski Jan wł. dóbr, do Płuhowa.

PP. Dębicki Michał gr.-kat. pleban, do Słowity. Dzieduszycka Talia hr. do Krakowa. Gromnicki Michał pleban, do Bortnik. Kozaryn Fabian dzw. dóbr, do Uliczka. Krasicki Piotr hr. i wł. dóbr, do Rohatyna. Pohorecki Kajetan dzw. dóbr, do Horpina. Reszetyłowicz Teodor pleban, do Lubelli. Rychalski Feliks dzw. dóbr, do Derewlan. Wieliczko Jakób gr.-kat. pleban, do Uhrynowa. Ysenburg Maurycy hr. kr. baw. rotmistrz, do Krakowa.

Lwów 10. stycznia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 19 zł. — kr. do 20 złr. — kr. — Żyta po 14 złr. 30 kr. do 15 złr. 15 kr. — Jęczmienia po — złr. — kr. — Owsa po 7 złr. 45 kr. do 8 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczka po 13 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaki po 8 do 9 złr. — kr. — Sąg drzewa bukowego 25 złr. — kr. do 26 złr. — kr. Jodłowego po 22 złr. — kr. do 23 złr. — kr. w.w. Centnar siana 2 złr. 48 kr. do — złr. — kr. — Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do — złr. — kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 11. Stycznia.		gotówką				towarem.		
Dukat holenderski . . . . ,	złr.	5	kr.	33	złr.	5	kr.	38.
Dukat cesarski	»	5	»	39	»	5	»	42.
Półimperyał zł. rosyjski	»	9	»	41	»	9	»	44.
Rubel srebrny rosyjski	»	1	»	53	»	1	»	54.
Talar pruski	»	1	»	44	»	1	»	46.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	24	»	1	»	25.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	90	»	9	»	90	»	20.

Kurs telegraficzny z Wiednia 11. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg $123\frac{1}{2}$. Frankfurt $123\frac{1}{4}$. Hamburg 93. Liwurno. — Medyolan $121\frac{1}{4}$. Genua. — Londyn 12. 2. Marsylia. — Paryż $145\frac{5}{8}$. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio. 22. Pożyczka 5% $91\frac{5}{8}$. $4\frac{1}{2}$ $80\frac{15}{16}$. Pożyczka lit. B. 5% — Akcye banku 1307. Kolej północna 2225.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**